

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy” Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295 67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.

Administracja czynna od 10 — 2 I od 4 — 6.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II.

WARSZAWA, DNIA 13 WRZEŚNIA 1924.

Nr 53.

Zagadnienie walki z komunizmem.

Ostatnimi czasy w prasie codziennej znakomicie wzrosła, w stosunku do pierwszego półrocza, ilość komunikatów donoszących o sukcesach władz bezpieczeństwa w dziele walki z apostołami komunizmu, poczynającymi sobie coraz agresywniej za złoto, sowitą płynące strugą ze szkatuły moskiewskiej.

Komunikaty te wielokrotnie zapewniały społeczeństwo o „zupelnem”, „całkowitem” i „ostatecznym” rozbiciu zbrodniczej akcji wysłanników czerwonej komuny, a czyniły to z takim talentem przekonywania czytelnika, że nawet sceptyk powinienby rozchmurzyć czoło i uznać się za pokonanego.

Miejmy nadzieję, iż ten zgubny system usypiania opinii przez skierowywanie jej uwagi na zgoła fałszywe tory, pozornie tylko prowadzące do rozwiązania poważnego problemu społecznego, jakim bezsprzecznie jest komunizm w swojej istocie, i co więcej, zagadnienia ochrony państwowości Polski, której w praktyce zagraża bolszewizm rosyjski, reprezentowany u nas przez Łańcuckich i Królikowskich — jest owocem ubolewana godnej pobłażliwości p. ministra spraw wewnętrznych dla nadmiaru zadowolenia ze swych sukcesów organów bezpieczeństwa, a nie metody.

Błąd ten na przyszłość nie powinien się powtarzać. Sprawność policji w likwidowaniu band komunistycznych, produkujących gazy zatrujące serce i mroczące umysł mas, zwłaszcza robotniczych, jest objawem pożądanym, jeśli towarzyszy

jej przezorność i powaga, nie zawsze panujące nad porywcza i dlatego źle zrozumianą gorliwością służbową. Wszakże nie wolno zapominać, iż policja walczy ze skutkami nie zaś przyczynami zła, że sama konieczność aresztowań obywateli polskich za stwierdzone pogwałcenie przez nich, pod wpływem trucizny bolszewickiej demagogii mirażów, obowiązków względem państwa, odkrywa przed naszymi oczyma nowe ognisko straszliwej choroby, i stąd niema w tem znamion radości, ani, co gorsza, radykalizmu walki, z jakim chirurg uzdrawia chory organizm wycinając pasożytujący na nim wrzód.

Po komunikacie donoszącym o „ostatecznym” rozbiciu centrów akcji komunistycznej, obserwujemy jej wzmoczenie się w zagłębiu Dąbrowskiem i na kresach wschodnich — zlikwidowaną centralę zastąpiła nowa. Rzecz bowiem nie w tem, że istnieją ośrodki tej akcji, lecz w tem, że życie wytworzyło warunki, stwarzające teren dla ich egzystencji.

I tu właśnie jesteśmy u źródła zagadnienia walki z komunizmem.

Rzeczą niezmiernej wagi w ocenie charakteru polskiego komunizmu jest unikanie, ułatwiającej rozumowanie, przesady w traktowaniu roli w jego vegetacji i rozwoju pieniędzy moskiewskich. Bezpłodna byłaby dyskusja na temat: czy, gdyby tych pieniędzy i nasłanych agitatorów nie było — komunizm istniałby w Polsce? To pewne, że jako ruch samorodny i na własnych tylko siłach oparty, rozwijałby się znacznie, ale to znacznie skromniej i co najważniejsze, wyszedł by ze źródeł ideowych. Obecnie zaś sztab jego jest nie tylko przez sowie ty płatny, jest dalej ekspozyturą już nie III Międzynarodówki lecz wprost państwowości rosyjskiej. Tu, ponad wszelką wątpliwość, decydującą rolę grają moskiewskie źródła finansowe, dające naszym prowodyrom znaczną swobodę agitacji, bez której nie mogliby marzyć o powodzi „bibuły” i sprężystości aparatu kolportażowego, czem niewątpliwie imponują masom.

Dalej jednak, poza sztabem, mamy do czynienia z szeregowcami, których liczba tu i ówdzie zaznacza się dobitnie podczas różnorodnych wyborów — w łonie organizacji robotniczych lub komunalnych, szeregowcami, którzy idą za hasłami komunistycznymi nie dla doraźnego zysku pieniężnego, których po ciąga sama tych hasel treść.

Akcja komunistyczna działa u nas na terenie dwóch zagadnień: socjalnego i narodowościowego, operując hasłami wyłącznie negatywnymi.

Zagadnienie narodowościowe daje komunistom pale do akcji prosowieckiej na kresach wschodnich, wśród ludności białoruskiej i ukraińskiej. hasła socjalne w centrach robotniczych i po części na wsi.

Dla chłopów tylko mają oni w zapasie jedyne również hasło pozytywne, a jest niem zniesienie większej własności

i podział ziemi. Wykorzystują tu zrećcznie ten wielki brak w dziele reform socjalnych, od których rozpoczęła swą egzystencję Polonia restituta, jaką jest, utopiona w powodzi trudności gospodarczo-finansowych i swarów partyjnych, reforma rolna. Poza wszakże tym jedynym wypadkiem akcja komunistyczna oparta jest całkowicie — jak się rzekło na hasłach negatywnych.

Jest to w całej rozciągłości program zatruwania dusz przez sączenie w nie niezadowolenia z realnych warunków życia po to, by później wygrywać na niem przy okazji każdej zjawiającej się na horyzoncie trudności: żywiłowej lub niedolnemi rękoma władz sprowadzonej.

Nie wystarczy wyklinanie tego systemu. Został on w całej rozciągłości zastosowany przedewszystkiem przez Narodową Demokrację w okresie ostatnich wyborów do ciał ustawodawczych — widzieliśmy jak najbardziej kłamliwe i utopijne obietnice zyskiwały największy poklask. Jest w tym odbicie straszliwego ubóstwa mózgownicy szarego polskiego obywatela, przyczyna tragicznego w swych skutkach analfabetyzmu w dziedzinie zagadnień politycznych i gospodarczych, paraliżującego wszelką zdolność konstruktywnego myślenia. Negacja jest wymarzoną strawą natury pierwotnej, czującej jedynie potrzebę wyładowania niezadowolenia, bez zastanawiania się co czynić dalej. I stąd, fakt, że system czystej negacji stosowany przez komunistów pozwala im osiągać niejaki sukcesy, jest pelen bezmiernej we wskazania treści.

Trzeba przedewszystkiem poddać rewizji stosunek wszystkich naszych stronnictw i partii politycznych do mas, trzeba stanowczo zrezygnować z łatwych sposobów walki o głosy drogą demagogii, posuniętej do utopji i negacji podniesionej do godności programu. Nie wystarczy oglądać się na rząd, a przedewszystkiem na policję, trzeba walkę z zawodnikiem anarchji rozpocząć od dostarczenia obywatelowi zawieszistej strawy mózgowej i wdrożenia go do konstrukcyjnego myślenia w realnych ramach zakreślonych przez życie, przy równoczesnem podnoszeniu do wyżyn misji dziejowej obecnego pokolenia zagadnienia szerzenia oświaty powszechnej, w czem już wielką rolę odegrać musi inicjatywa i wysiłek narodu.

To jest pierwsza i zasadnicza część zagadnienia walki z komunizmem.

Część druga związana jest ściśle z państwową polityką gospodarczą, socjalną i narodowościową, a więc ze splotem zagadnień stanowiących o stałości konstrukcji nowoczesnego państwa, podążającego rażno za ewolucją form życiowych. Dopóki nie znikną gospodarcze skutki wojny, wyrażające się w szalonym obniżeniu stopy życiowej człowieka pracy; potworne wyobrażenia, niestety częstokroć wcielane w życie, o pierwszeństwie wobec państwa klas uprzywilejowanych majątkowo;

nieszczerość rządów względem praw mniejszości narodowych; ułomność wymiaru sprawiedliwości normowanej przeżytemi kodeksami, i obłąd fanatyzmu religijnego z pogańskimi wyobrażeniami o pierwszeństwie jednych wyznań przed innymi i powstałem na tym tle państwem czarnych sutann, w państwie 28-iu milionów obywateli wielu wyznań i narodowości — nie zostaną usunięte główne ośrodki wzbudzenia umysłów, sprzyjającego rozwojowi anarchji.

Na tych polach wyłącznie można skutecznie walczyć z komunizmem.

Jednym zarządzeniem o przedłużeniu dnia pracy na G. Śląsku p. Wł. Grabski z p. Darowskim oddali emisariuszom sowieckim przysługę, przerastającą wielokrotnie krzywdę, jaką im dzisiaj może wyrządzić p. Hübner.

Oczywiście nie można rozumieć przez to, cośmy powyżej powiedzieli, aby cała polityka państwa miała być nastawiona pod kątem potrzeb walki z komunizmem.

Rzecz wszakże w tem, że zadanie to mieści się całkowicie w programie racjonalnej organizacji życia państwowego, a nie w śódkach represji, których siła działania, z natury rzeczy, nie sięga poza granice dnia dzisiejszego.

Siła komunizmu wynika z kontrastu pomiędzy istniejącym stanem rzeczy, a jego, kamunizmu, minimalnym, dającym się zrealizować, programem.

Możemy sobie spokojnie powiedzieć, że kontrast ten u nas jest niezmiernie nikły i stąd zwycięstwa polskich sojuszników pp. Trockich, Kalininów, Kamieniewów i Cziczerynow obawiać się nie potrzebujemy. Ich maksymalnym sukcesem jest i pozostanie zakłócanie normalnych dróg rozwoju społecznego mas polskich, którego jednak trzeba — w naszym położeniu unikać stanowczo przez zastosowanie racjonalnych środków przeciwdziałania, których świadomość winna być udziałem wszystkich obywateli.

W. Stpiczyński.

Paroksyzm głupoty politycznej.

Głos Prawdy niema żadnego powodu do entuzjazmu, że ministrem spraw zagranicznych i delegatem do Ligi Narodów jest p. Aleksander Skrzyński. Nasz program w dziedzinie polityki zagranicznej nie redukuje się do zamiany personalnej p. Zamoyskiego na p. Skrzyńskiego. Ale tem bardziej musimy stwierdzić, że taktyka obecnego ministra spraw zagranicznych na terażniejszej, piątej sesji Ligi Narodów stoi na wysokości zadania, odpowiada interesom państwowym Polski i autorytetowi naszej Rzeczypospolitej. Stwierdzenie tego jest konieczne wobec ulicznikowskich napaści prasy endeckiej na p. Skrzyń-

skiego za to, że... nie nawymyślał p. Mac Donaldowi. *Dwugroszówka* przykleiła już p. Skrzyńskiemu etykietkę „hrabiego Milczka“, a wraz z nią i inne organy endeckie dopominają się zwołania sesji Sejmu, aby p. Skrzyński wytlómaczył się przed nimi ze swego postępowania w Genewie. Oni, którzy wszelkie służalstwo wobec mocarstw zachodnich uważali za część zasadniczą swego programu, stają teraz w pozie obrońców honoru Polski! Było by to jeszcze jedno śmieszne kabotyństwo polityczne, o którym nie warto mówić, gdyby nie tkwił w tem objaw zarazy ogólnej, zaszczepionej przez endecję całemu społeczeństwu w okresie niewoli, kiedy ten obóz sprawował rządy dusz. Ten objaw — to niesłychana płytkość i głupota w sądach o obcych i płynący stąd równie niemądry stosunek do swoich.

Przypomnijmy sobie o co chodzi.

Premjer angielski p. Mac-Donald wygłosił mowę, w której był frazes poświęcony sprawie Górnego Śląska. Mowa wygłaszana była po angielsku; w tym frazesie francuskie tłómaczenie zaostrzyło moment zupełnie „shocking“, bo potępiający decyzję Ligi o Górnym Śląsku. Z wyjaśnień angielskich i z tekstu angielskiego widać, że było to nieporozumienie umyślnie rozdmuchane z jednej strony przez Niemców, a z drugiej przez część prasy francuskiej.

P. Mac-Donald, sam autorytatywnie stwierdził że nie chciał powiedzieć, że „decyzja Ligi w sprawie Górnego Śląska jest błędną“, a powiedział tylko, że „ludzie nieświadomi rzeczy dopiero wtedy zaczynają się interesować Ligą, kiedy jakaś decyzja jak np. w sprawie Górnego Śląska wyda się błędną“.

Zbrodnia p. Skrzyńskiego, za którą ma odpowiadać przed „sowietem“ endeckim polega na tem, że nie zrobił żadnego larum z powodu tego nieporozumienia, nie przyłączył się do tego abderyckiego chóru, który tu w Warszawie robi z premjera angielskiego p. Mac-Donalda jakiegoś półgłówek albo sługę Hindenburga.

P. Skrzyński zachował się tak, jak przystało na delegata Polski: uzyskał wyjaśnienie budzącego wątpliwości frazesu, a w swojej mowie powiedział, że pierwszą gwarancją bezpieczeństwa musi być nie podawanie w wątpliwość decyzji arbitrażowych, a taką była przecież decyzja o Górnym Śląsku.

Orgja wymysłów, kpín i drwin pod adresem p. Mac-Donalda, która zalewa naszą prasę z powodu tego incydentu najwidoczniej ad usum... nacjonalizmu niemieckiego, jest dowodem, że Polska ma lepszego ministra spraw zagranicznych, niż na to zasługuje. Jeżeli min. Skrzyński ma za to stanąć do odpowiedzialności przed sowietem sejmowym, to będzie dowód, że głupota polityczna ogarnia u nas większe przestrzenie duchowe, niż endecja.

S. G.

Tydzień lotniczy.

W pierwszej połowie października Liga Obrony Powietrznej Państwa urządza w całej Polsce tydzień lotniczy.

Chodzi o uświadomienie społeczeństwu, że lotnictwo, ten dziś już niezbędny warunek bezpieczeństwa z jednej strony, ten kolosalny motor postępu z drugiej, nie może być stworzone sumptem rządu, lecz może powstać jedynie jako skutek pracy całego narodu.

Trzeba ukochać lot w przestworza, w powietrzny, nad chmurny szlak, by wyłonić tysięczny zastęp odważnych i pewnych siebie lotników.

Trzeba zrozumieć, czym jest komunikacja powietrzna dla cywilizacji, dla ogólnego podniesienia poziomu kulturalnego, by spowodować samorządy do odstępowania na jego rzecz placów, urządzania lotnisk. Trzeba, aby to wszystko się stało, by publiczność przyzwyczaiła się do latania, aby ruszył przemysł, wytwarzający wszystko, co do komunikacji powietrznej jest potrzebne.

Na ogół temu zagadnieniu poświęcamy zbyt mało czasu i uwagi. Całą propagandę lotnictwa prowadził długo tylko *Lot Polski* wydawany przez ppłka J. Grzędzińskiego. Od pewnego czasu coraz żywszą działalność ujawnia Liga Obrony Powietrznej Państwa. Oprócz odezw, odczytów, druków, działalności agitacyjnej jednym słowem, przystąpiła ona do organizacji działania. Już teraz powstaje szkoła mechaników lotniczych, szkoła pilotów, prowadzone są prace ku dźwignięciu instytutu aerodynamicznego.

Spółeczeństwo winno z całych sił tej pracy dopomóc, wziąć w niej jak najczynniejszy udział.

A. Dowmunt.

Znamienny symptomat.

To co Mac-Donald powiedział w Genewie, jest w stopniu daleko mniejszym faktem, niż symptomatem politycznym. Śmieszne są poprostu rozprawy naszych pism na temat, czy p. Skrzyński dobrze się z nim rozprawił i czy dosyć mu odpowiedział.

Natomiast przemówienie Mac-Donalda ma wielką wagę symptomatyczną, tem większą, że nie było bez precedensów i jest w widocznym związku z objawami politycznymi ostatniej doby. Wyłączone też jest przypuszczenie, jakoby zaszedł tutaj przypadkowy *lapsus linguae*. Przeciwnie, widać ze wszystkiego, że Mac-Donald powiedział to, co chciał powiedzieć. A jest to

rzecz która w pierwszym rządzie obchodzić musi Polskę i jej opinję.

Cóż właściwie dał do zrozumienia lewicowy premier? Że uważa granice nasze za coś tymczasowego i nienaturalnego, za coś takiego, na czem nie będzie spoczywał trwały układ polityczny Europy i czego Anglja gwarantować bezwarunkowo nie zamierza. Przypomnijmy sobie dzieje niedoszonego traktatu gwarancyjnego między Francją a Anglją. Pierwsza, jak wiadomo, domagała się rozszerzenia go i na obronę Polski przed ewentualnym odwetem niemieckim, gdy druga nie chciała i nie chce o tem słyszeć. I w dodatku w polemice politycznej na ten temat głosy angielskie wszystkich grup politycznych brzmiały tak dziwnie, jak gdyby chciały Niemcom dodać otuchy i wlać w nie przekonanie, że granice, wykreślone na wschodzie przez traktat wersalski, nie są czemś trwałem i nienaruszalnem.

Kolega Mac-Donalda z Partji Pracy i z gabinetu, Henderson oświadczył się na zgromadzeniu publicznem za rewizję traktatu wersalskiego. Wywołało to pewnego rodzaju burzę w parlamencie i szereg zapytań pod adresem premiera. Ten ostatni, unikając najwidoczniej merytorycznego wyjaśnienia, odpowiedział, że gabinet bierze odpowiedzialność tylko za to oświadczenie, które od siebie składa w parlamencie. I nic więcej. Ci którzy chcieli usłyszeć, czy premier podziela zdanie swego kolegi, i jak się zapatruje na jego czyn agitacyjny, musieli się zadowolnić formalną, suchą odpowiedzią Mac-Donalda. Wystąpił wtedy w szranki Lloyd George przeciw Hendersonowi, wyraził mu ostrą naganę za użycie „alarmującego słowa“, atoli co do rzeczy samej, przemawiał gorzej niż dwuznacznie. Dawał prosto do zrozumienia, że można podważać traktat wersalski bez „alarmujących słów“ i że istnieją na to sposoby, których on sam w niedalekiej przeszłości próbował. Zresztą niewiele mógł wtedy poradzić, gdyż był skrupowany postawą konserwatystów i miał za ministra spraw zagranicznych ich wybitnego przedstawiciela i męża zaufania lorda Curzona, który go pilnował i nie pozwalał posuwać się zbyt daleko. Mac-Donald jest w innem zgoła położeniu.

Bardzo uprzejmie zaprosił on Niemcy do Ligi w tem samym przemówieniu, w którym jak gdyby mimochodem wtrącił frezes o błędzie, popełnionym przez tę Ligę w rozstrzygnięciu sprawy górnośląskiej.

Czy to przypadek? Czy raczej premier angielski nie nawiązał swych wynurzeń do nienadawnych oświadczeń kanclerza niemieckiego i postulatów jego podpór parlamentarnych? Oznajmiały one głośno, że Niemcy nie wejdą do Ligi, aż uzyskają zniesienie korytarza gdańskiego i szersze postanowienie co do Górnego Śląska. Głos premiera angielskiego zdaje się mówić Niemcom, że sprawa jest do zrobienia, a raczej do

odrobienia, skoro tylko okoliczności ułożą się po temu. Zaś o to, aby tak się stało, mogą się postarać Niemcy i Rosja. W słowach Mac Donalda odzywa się jakby zachęta pod ich adresem do podniesienia kwestji naszych granic.

Skoro tak, to incydent na terenie Ligi jest sam przez się drobiazgiem wobec doniesłego i groźnego faktu — usposobienia opinji angielskiej i jej poglądu na odnośne części traktatu wersalskiego. Wprawdzie obóz konserwatywny, który w osobach Balfoura, Bonar Lawa i innych zawierał traktat pokojowy wbrew dążnościom Loyda George'a, widzi w nim swe własne dzieło i nie zwracał przeciw niemu zarzutów krytycznych, ale żywioły liberalne oraz robotnicze występują otwarcie przeciw niemu, co jak się zdaje, nie pozostaje bez wpływu na stanowisko konserwatywne. W rezultacie cała Anglja patrzy obojętnie lub gorzej niż obojętnie na problemat naszego bezpieczeństwa, któremu przecież zagrażają nasi notoryczni wrogowie.

Do niedawna cała nasza prawica, która miała w swem ręku politykę zagraniczną, nie kłopotowała się o jej losy, bo w jej mniemaniu nad pokojem europejskim i całością naszych oraz innych granic czuwa wszechwładna i wszechpotężna koalicja, która niedopuszczi do żadnej awantury wojennej.

Cóż tymczasem widzimy? Oto koalicja jako solidarna całość nie istnieje, a wszyscy jej członkowie nie ukrywają obecnie, że nie podejmują się utrzymania pokoju w Europie na danych podstawach, że konieczny jest sięgnąć po jakiś nowy modus vivendi z udziałem Niemiec i Rosji.

Polska znajduje się w położeniu odrębnem, najeżonem specjalnemi trudnościami. Powinnaby mieć własną politykę zagraniczną, opartą na gruntownej ocenie poszczególnych zagadnień i ich stosunkowej wadze. Otóż największe bodaj niebezpieczeństwo na tem polega, że takiej polityki dotąd nie znamy, a nawet, o ile chodzi o szersze koła, nie znamy świadomości jej konieczności. Prędzej, niż mniemamy, może nas zaskoczyć moment próby.

T.

• Pożądanie kompromitacji.

I znowu pisma donoszą o aktualności pomysłu stworzenia uniwersytetu „ruskiego“ (ukraińskiego, staroruskiego, łemkowski, chliborobowego i t. d.) w Krakowie.

Pisaliśmy już o tem. Dziś wypada nam tylko stwierdzić kilka zasadniczych tez, ku przestrodze i zastanowieniu.

1. O uniwersytecie *ruskim* (staroruskim i ukraińskim) nie może być mowy wogóle. Ukraińcy bowiem uważają się słusznie za odrębny naród, starorusini uważają się za plemię rosyjskie (moskalofile). Tworzyć uniwersytet ruski (ukraiński,

staroruski) czyli ukraińsko-rosyjski jest nonsensem par excellence. Że coś podobnego zjawilo się w naszej nomenklaturze urzędowej świadczy o ubóstwie umysłowym i niewyrobieniu jej twórców.

Przyjmujemy że przez nazwę „ruski (ukraiński, staroruski)“ rozumie się uniwersytet ukraiński, bo inaczej poprostu być nie może. W takim razie stwierdzamy dalej:

2. Uniwersytetu nie można stworzyć na zawołanie. Potrzebny jest do tego nie tylko pieniądz, który może asygnować skarb Państwa, ale przede wszystkim wysiłek społeczeństwa. Uniwersytet ukraiński za pieniądze podatkowe ludności ukraińskiej (to trzeba pamiętać!) można stworzyć tylko siłami społeczeństwa ukraińskiego. Skoro ono nie chce uniwersytetu ukraińskiego w Krakowie i spółdziałać w tworzeniu go nie będzie myśl ta dzika i absurdalna sama przez się upada.

3. Jeżeliby p. Miklaszewskiemu udało się zwerbować gromadę najmitów-ukraińców, którzy, podejmą się roli wykładowców na uniwersytecie ukraińskim w Krakowie, każdy Ukrainiec będzie ich uważał (słusznie!) za zdrajców swego narodu. A jesteśmy przekonani, że nie każdy uczciwy Polak zechciałby podać rękę takiemu panu. Rząd niech się nie łudzi, że zdoła obronić tego rodzaju zaprzańców-profesorów przed ciągłymi zniewagami, jakie im ich rodacy będą gotować.

4. Do uniwersytetu „ruskiego“ w Krakowie nie zapisze się ani jeden uczciwy młodzieniec, gdyż tego rodzaju instytucja, będąc haniebnym naigrawaniem się z praw narodu ukraińskiego, musi być przez młodzież tego narodu bojkotowaną. Jeśli znajdzie się kilku renegatów — tem gorzej dla nich. Polska opinia uczciwa będzie miała dla nich tylko pogardę.

Otóż przedsięwzięcie narazić może p. Miklaszewskiego rząd, a co gorzej — powagę Państwa na straszliwą kompromitację.

Ale nie dość na tem. Przedsięwzięcie to właśnie ze względów przytoczonych musi być traktowane nie tylko jako ślepotą — ma ono posmak zgnilizny moralnej.

Ministerstwo oświaty zamiast wychowywać obywateli chce ich korumpować!

A. Uziembło

Powtórzenie eksperymentu.

Urzedników cywilnych w dwóch, a właściwie czterech województwach wschodnich oddano pod komendę generałów. A oto teraz, według projektu ustawy o ochronie granic korpus wojska oddaje się ministerstwu spraw wewnętrznych. W ze-

stawieniu tych faktów jest coś potwornie absurdalnego, coś co mówi nam, że rząd nasz jest jakby żaczkciem nieletnim, którego surowy nauczyciel — życie — wywołał do tablicy i pyta na wrywki z dziedziny zagadnień wschodu, a ten stropiony okrutnie wali odpowiedzi jedną po drugiej, plecie co mu ślina na język przyniesie — byle się wyblagować.

Trrach! — konwentykiel polityków; trrach! drugi raz kiepskie ustawy językowe; trrach! trzeci generałgubernatorstwa, trrach! czwarty korpus graniczny. Żadna logika, żadna myśl przewodnia, żadna zasada wspólna — tylko gwałtowna potrzeba odpowiedzi.

„Panie profesorze! ja się uczyłem...”

Może pomysł straży granicznej nie byłby... najuboższym w duchu, gdyby już tego nie stosowano dawniej i nie doświadczone, że kordon z wojska utworzony w czasie pokoju — nie jest kordonem.

Oto wiązka doświadczeń z tych czasów.

1. Ani żołnierz, ani podoficer, nawet oficer nawet nie posiadają i posiadać nie mogą przygotowania policyjno-prawnego, potrzebnego do służby granicznej.

2. W tego rodzaju specjalnych oddziałach zawsze zbiera się element najgorszy. Lepsza część oficerów woli prowadzić ideową dalekowidzącą pracę wojskową. Lepszych żołnierzy nie puszczają pułki, bo z czemby same zostały? Na ochotnika zgłaszają się do nich „rycerze przemysłu”.

3. Wojsko rzucone w małych oddziałkach szybko wchodzi w styczność z miejscową ludnością, a przez nią z zawodowymi przemytnikami, grassantami i przemytnikami. Żołnierze, często półanalfabeci, pobierający 87 groszy na dekadę widzą nagle przed sobą źródła kolosalnych „zarobków” i łatwiej niż kto inny ulegą pokusie, bo nie widzą swego jutra w służbie wojskowej.

Widziałem na własne oczy list oficera dawnej straży granicznej do przełożonego, w którym biedny porucznik Z. błaga o zwolnienie, gdyż jeśli zostanie, musi albo brać łapówki, albo być zastrzelonym przez innych, którzy łapówki biorą.

Cała koncepcja korpusu da się usprawiedliwić tylko i wyłącznie ze stanowiska oszczędnościowego. Istotnie cała historia ograniczy się do podniesienia o 25% gaży oficerskiej i do przeniesienia pewnej części wojska na etat ministerstwa spraw wewnętrznych. To wszystko.

Ale pozwoli, Wysoki Rząd powiedzieć sobie, że to mało. W dziedzinie ochrony granic oszczędności dopuszczalne są tylko do pewnej miary. Ile kolwiek to ma kosztować, musi być zapewniona nietykalność rubieży państwa.

Jak to zrobić — mówiliśmy w kilku poprzednich numerach, dziś nie będziemy tego powtarzać. Sądźmy jednak że projekt

tak pochopnie ogłoszony zostanie projektem, że nasze ciała ustawodawcze nie zechcą narzucić nam tego chybionego pomysłu.

A. U.

Mówca na niedziele i święta.

„Kurjer Poznański“ wydrukował następujące ogłoszenie:

„Stronnictwo polityczne prawicowe poszukuje zdolnego mówcę, który w niedziele i święta wyjeżdżałby na zebrania na prowincję. Zgłoszenia: „Kurjer“ i t. d“.

Chodzi więc o jednego z tych partyjnych pracowników, których w dawnej Polsce nazywano „szczekaczkami“, a którzy zajmują się „mamieniem ludu“, jak to już Platon określił zawód płatnych mówców.

W czasach wzrastającego bezrobocia, sporo obywateli może w „Kurjerze Poznańskim“ zgłosić swe oferty. Przemawianie na prowincjonalnych zebraniach w niedziele i święta celem kaptowania zwolenników prawicy, nie jest zapewne zajęciem zbyt dystyngowanym, praca ta nie uderza ambicją wyższego gatunku, z drugiej jednak strony pociągając może urokiem łatwego zarobku, jakoteż, — kto wie? — ewentualnością wielkiej kariery politycznej. Można bez trudu wykuć się kilku, ostatecznie — kilkunastu zdań, zawierających całą mądrość partyjnej demagogji i budzić potem zachwyty, wdzięczność i uznanie motłochu, który przytem nieźle potrafi zapłacić. Dużo jest „wybitnych“ działaczy, którzy swój dobrobyt, swoje stanowisko i swoją popularność zawdzięczają jedynie owym kilkunastu zdaniom, jakimi operują całe życie. We łbie — pustka nieprawdopodobna, o jakiegokolwiek pracy umysłowej — mowy niema, tylko katechizm partyjny dobrze na pamięć wykuty. Ludzie, jako tako intelektualnie okrzesani, nie mogą bez uczucia odrazy słuchać jak taka pała przemawia, ale — co męki sprawia jednym, może u drugich budzić najwyższy entuzjazm. Pomiedzy ludźmi ogromne są różnice.

„Stronnictwo polityczne prawicowe“, poszukujące „zdolnego mówcę“, musi go zaopatrzyć w odpowiednią instrukcję, dać mu owe kilkanaście zdań, z którymi będzie jeździł w niedziele i święta na prowincję, uderzając w „czynów stal“. Przypomnę jedną z takich instrukcyj poufnie wydanych dla ludowych oratorów.

Dwa lata temu, kiedy jeszcze nie było przymierza Narowej Demoz „Piastem“, pisma prawicowe ogłosiły z wielkim hałasem tajny okólnik, spreparowany dla agitatorów wyborczych „Piasta“, zawierający wskazówki, jak przemawiać na zgromadzeniach ludowych. Z przytoczonych wówczas przez „Gazetę Poranną“, „Gazetę Warszawską“ i „Rzeczpospolitą“ ustępów, przypominam następujący:

„Można się ze swoimi ludźmi na wiecu umówić w ten sposób: o ile weźmie się za prawą kłapę surduta, macie krzyknąć: „hańba!“, o ile za lewą — „niech żyje!“, o ile za głowę — bić brawo. Podczas przemówień agitator powinien robić wrażenie, że ma te same myśli, cierpienia pragnienia, co słuchacze. O ile zbija argumenty przeciwnika, powinien zacząć od najstabszych. Jeżeli odparcie pozostałych argumentów przeciwnika jest utrudnione, można je zbagatelizować jakimś zwrotem w rodzaju: „O pozostałych oszczerstwach przeciwnika nawet mówić nie będę!“ albo: „Pozostałe kłamstwa przedmówcy nie wymagają nawet obalenia!“

Czy nie świetna instrukcja? Wszystkiego dobrego!

201.

Łobuzerska propaganda.

Sowiety najwyraźniej postanowiły Polskę sprowokować. Jeżeli nie dywersjami na granicy, to literaturą dyplomatyczną. Na zmianę używa się w Moskwie tych lub innych narzędzi. Świeżo puszczono w ruch „Stinkbombę“ dyplomatyczną. Jedna z nich nosi tytuł odpowiedzi—na notę o napadzie na Stołbce, druga — odpowiedzi na memorandum polskie w sprawie deklaracji londyńskiej p. Rakowskiego o Galicji Wschodniej. Oba te elaboraty dyplomacji sowieckiej obliczone są na efekt podwójny: 1) propagandę i 2) wyprowadzenie z równowagi dyplomacji polskiej.

W odpowiedzi na notę o Stołbcach sowiety rozpoczynają stare bajeczki o bandach Bałachowicza, nieco odświeżone w Moskwie dzięki złowieniu do sieci duszy Sawinkowa. Po za temi bajeczkami o napadach polskich na Białoruś sowiecką. Sowiety dają do zrozumienia, że napad na Stołpcę zorganizowała polska straż pograniczna. Jeżeli p. Cziczzerinowi wydaje się, że jest to dobry dowcip i świetny kawał, to się myli. Wątpić należy, czy nawet w piwiarni sowieckiej, które zastępują szynki carskie, ktoś się z tego dowcipu uśmieje.

Ten sam charakter łobuzerskiego przekomarzania się ma odpowiedź na memorandum polskie w Galicji Wschodniej. Sowiety twierdzą, że do Galicji Wschodniej jako terytorjum prentensji nie mają, ale ludność tej ziemi znajduje się pod ich „wysoką protekcją“ i dodają, że to tak zawsze będzie.

Jaka nauka płynie dla dyplomacji polskiej z tych „odpowiedzi“ sowieckich? Chyba tylko jedna, że powinniśmy mieć prawdziwe Biuro Prasy i Propagandy przy M. S. Z.

Zamiast wypracowywać trzymane w tajemnicy poważne noty do „figlarzy“ z Kremlina, było by lepiej rozsyłać tak, jak oni radjo do wszystkich, wszystkich, wszystkich. A w radjo tem zawiadomić cały świat, że sowiety wyraźnie prowokują spokojnego sąsiada, że notorycznie gwałcą podpisane traktaty, że łżą i sieją zamęt.

Jesteśmy pewni, że gdyby w Moskwie wiedziano, iż Polska umie zwalczać propagandę sowiecką, pisano by inaczej noty i odpowiedzi do rządu polskiego.

Na łobuzerstwo dyplomatyczne można odpowiedzieć tylko w ten sposób.

Po za tem, i z tych odpowiedzi, i z ostatnich wypadków powinniśmy mieć jeszcze jedną lekcję; nie trzeba polityki względem Rosji wspomagać przez posługiwanie się różnymi Bałachowiczami i Sawinkowymi: wielkie tajemnice, które zyskujemy przez agentów podwójnej służby polsko-sowieckiej są nic nie

warte, a korzystanie z ich usług ułatwia sowietom łobuzerską propagandę.

(g.)

Nieprawdopodobne a jednak prawdziwe.

Data i miejsce urodzenia biuralizmu i biurokratyzmu daje się ustalić. Te nadobne dwie latorośle urodziły się dość dawno, bo do pełnego rozkwitu doszły już w swej kolebce, w cesarstwie wschodniem, znanem pod nazwą Byzancjum i przyczyniły się wydatnie do jego upadku. Stąd biuralizm i biurokratyzm rozlał się na inne kraje i na Rosję, uparcie chcąc uchodzić za spadkobierczynię tradycji i włości tego cesarstwa. Nie mniej i późniejsze zchrystjanizowane cesarstwo rzymskie, zachodnie, którego tytuły, tradycje i prawa przeszły na dynastję Habsburgów, uległo tej zaraźliwej chorobie. Z tych względów biurokratyzm i jego sijański brat biuralizm, austriacki i rosyjski mogą nie zadziwiać, natomiast zadziwiać mogą przejawy najbardziej wyjaskrawionego biuralizmu i biurokratyzmu w Polsce, co jest w rażącej sprzeczności z tem, co tradycja dziejowa nam przekazała.

Obserwując z ubocza objawy omawiane, trudno się oprzeć wrażeniu, że całe te niezliczone rzesze pracowników biurowych w chwili swego funkcjonowania opanowane są rodzajem koszmaru i duru, odbierającym im wszelką trzeźwą ocenę tego, co i jak robią. Każdy np. urzędnik nawet o skromnych zasobach umysłowych jest znacznie rozsądniejszym od tych wszystkich mało poczytalnych wzorów, systemów i sposobów, jakimi mu każą w biurze sprawy załatwiać i, załatwiając sprawy osobiste, ani mu do głowy nie przychodzi naśladować biurowych wzorów. Chcąc np. udzielić w Warszawie odpowiedzi lub zapytać o coś inną osobę lub urząd, posługuje się on telefonem lub pocztą, jeżeli nie rozporządza posłańcem. Tu, według przyjętych ceremonji chińskich, nigdy nie będą porozumiewać się bezpośrednio. Broń Boże! Odbędzie się to drogą okólną przez różne instancje, kancelarje, zaangażuje w pracę nawiązania korespondencji długi szereg osób, zostanie porobionych szereg adnotacji, rejestracji, potwierdzeń, sortowań i wiadomość urzędowa z piętrem na piętro wędruje za drogie pieniądze trzy do czterech dni. I pomyśleć tylko, że dopuszcza się tego państwo w epoce pary, elektryczności, radjów, aeroplanów, które z pasją uśmiercają czas i przestrzeń. Zagadkowość zjawiska na tem się jednak nie wyczerpuje. Zdarsza się w praktyce biurowej pod gwałtownym naporem okoliczności (np. gdy wszczęte sprawy pozostają czas dłuższy w letargu i zapomnieniu), że sprawy bywają wszczęte i rozstrzygnięte błyskawicznie w przeciągu kwadransu na drodze

np. telefonogramu, wystosowanego do szefa mającego głos rozstrzygający. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że może w podobnych wypadkach petent znajdzie natychmiastowe lub szybkie zadosyćuczynienie. Bynajmniej! Wszczęcie sprawy i zapadła uchwała wprawdzie wyjątkowo trwało tylko kwadrans, ale ujęcie tej decyzji w odpowiedni papier, pozostawanie tego papieru, jak się wyrażają z namaszczeniem urzędnicy „w podpisie“, następnie pozostawanie tego papieru na „maszynach“, później podróż z przygodami, odyseja przez niezliczone kancelarje, rejestry, segregatury, dzienniki nadawcze i temu podobne wyboje i wilcze doły, na wiele, wiele dni, tygodnie i miesiące oddali wykonanie kwadransowej decyzji. Wygląda to tak, jak gdyby się ktoś wysiłał, by za cenę największych wysiłków osiągać najmniejsze wyniki.

Jednym z powodów, dlaczego dawniej tak zwane „bumagi“ nie mogły szybko wychodzić na dzienne światło z zawiłego labiryntu biurowych zakamarków — jest to, że bezsensowny sposób werbowania pracowników biurowych urąga wszelkiej logice i zdrowemu rozsądkowi, będąc niewolniczem i bezmyślnym poddaniem się staroświeckiemu nałogowi. Nonsens ten polega na tem nierealnem dziwactwie, że osobę żywą utożsamia się z jej „papierami“, udając wiarę, czy też istotnie wierząc w to oczywiste kłamstwo, że w papierach kandydującego osobnika znajdują ściśle odzwierciedlenie jego moralne, umysłowe, cielesne i zawodowe kwalifikacje i wartości. Nie mówiąc już o tem, że papiery osobnika i jego świadectwa często są wystawiane „przez grzeczność“ lub „przez wdzięczność“ za to lub owo, pomijając to, że często fałszywie zeznają i świadczą, czy to z powodu nieudolności, czy też świadomej złej woli zaświadczonego, zwrócić uwagę wszak należy, że papiery osobnika nawet w najlepszym razie, kiedy są wierne oznakami jego właściwości, jako martwe przedmioty nie podlegają zmianom i przemianom, nie podlegają ewolucji, będąc zbiorem paru statycznych momentów na chybił trafił zaczerpniętych z życia osobnika. Chociaż to jest oczywiste, zamyka się na to oczy, by podtrzymać przywilej „papieru“.

Poza tą ułomną metodą werbowania pracowników biurowych spostrzega się inny podstawowy brak systemu. Ustrój biurowy maszyny administracyjnej oparty jest na zupełnej nieufności do inteligencji, uczciwości i niezłomności urzędowego charakteru pracownika biurowego. To uniemożliwia uproszczenie czynności biurowych, znosi całkowicie celowy podział odpowiedzialności za daną kategorię i zakres czynności, natomiast zmusza do roztaczania kontroli nad kontrolą kontroli, prowadzi do centralizowania i kondensacji odpowiedzialności na szczyśle grono wyższych funkcjonariuszy państwowych, obarczonych skutkiem tego nadmiarem drobniadkowego dozoru i kontroli, które pod nawalem przeładowania załamują się, wydając skutek wręcz

przeciwny zamierzonemu, t. j. niedozór i brak kontroli. Ocie-
rając się o nasze urzędy, nie trudno spostrzec i inny rys.

Polska dzisiejsza, jak gdyby „państwo sukcesyjne“ po rozpartych i rozpierających się mocarstwach rozbiorowych, siłą-
cych się na wygląd „Weltmacht'ów“, żywcem, śłopo i bezmyśl-
nie przejęła ich wzory i liczbę instytucyj państwowych, nie tro-
sząc się wcale, że tak dobrze kaliber Rzeczypospolitej jak
i anemiczne tętno słabo pulsującego życia państwowego bynaj-
mniej temu nie odpowiada. To też z niezliczonej mnogości
departamentów i wydziałów jedne są zbędne i przedwczesne,
inne, jeżeli i zdarza się im czasem mieć coś do roboty, to tak
nie wiele, że dla tej odrobiny nie oplaca się dźwigać ciężar
i koszty całego wydziału rozbudowanego tak, jak gdyby miał
przenieść góry morza i lądy.

Wszystko co powyżej zostało wskazane i wiele z tego,
o czym tu wcale niema mowy, składa się na to, że nasza admi-
nistracja państwowa, prawdopodobnie poczęta w dobrej myśli
i wierze, zbudowaną została tak, że drogo kosztuje, zamęcza
pracowników biurowych, zadręcza interesantów, siejąc spusto-
szenie w ich czasie i w ich zatracanej na marne energii, by
wydawać plon tyleż kosztowny, ile i pikły.

By pomóc wyobraźni wymierzyć rozmiary tej plagi, za-
cytujemy tu jeden z setek tysięcy przykładów, gdzie interesant,
uderzony nienaturalnością urzędowej praktyki, zadał sobie trud
znaleźć liczbowy wyraz tej administracyjnej teratologii. Oto
ten przykład. Z inicjatywy nie własnej, lecz osób urzędowych
nasz informator wszczął pewną sprawę dla niego terminową.
Z tego powodu zapytał odnośny urząd, w jakim czasie sprawa
znajdzie swe załatwienie. Odpowiedziano mu, że w przeciągu
najdalej trzech dni, czem urząd złożył dowód zupełne-
go zaniku wszelkiego samopoczucia i samopoznania. Otóż
gdy się rozpoczął taniec, okazało się, że pomiędzy wszczę-
ciem sprawy a jej załatwieniem upłynęło nie trzy dni, lecz 53
dni, że z powodu tej sprawy musiał nasz informator odwiedzać
aż 6 rodzaj rozmaitych urzędów, którym musiał złożyć w łącz-
nej sumie 35 wizyt (6 + 21 + 4 + 2 + 1 + 1), ażeby to wy-
konać musiał on wydreptać 163 kilometry, a na chodzenie,
czekanie, wywiady zużyć musiał 84 godziny czasu, a w proces
załatwiania sprawy było zaangażowanych 11 urzędników. Ile
przytem zużyto papieru, ile sprawa wywołała pisaniny i innej
pracy biurowej informator nie wie, to wie jesze tylko, że to
wszystko stało się przy akompanjamentie naidalej idącej goto-
wości do usług pracowników biurowych i ich najlepszej woli.
Jak sprawa wyglądałaby, gdyby ta dobra wola nie dopisała,
lub gdyby w toku sprawy wyłoniły się jakieś trudności for-
malnej natury, trudno sobie wyobrazić. A jaki ostateczny plon
tego wszystkiego? Tak jak w bajce; góra jęcząc strasznie
urodziła mysz. Uwieńczeniem tego dzieła było 20 złotych po-
życzki. Sapienti sat.

Autsider.

Widmo.

Na tie mianowania gen. Januszajtisa generał-wojewodą już mamy ciekawe wypadki.

W jednej z gmin wojew. Nowogrodzkiego bandyci wymordowali rodzinę Św. Po kilku dniach wójt dostaje zarządzenie podpisane przez starostę: trzy wioski otaczające dwór wymordowanych mają w przeciągu dni trzech wydać morderców — w przeciwnym razie zostaną spalone a mieszkańcy wyrznięci. Wójt, widząc, że przychodzą generalskie rządy, wzytuje sołtysów i ogłasza im wyrok. Na ludność pada panika. Wszystko, co żyje z wioszek ucieka do lasu. Kobiety, dzieci, starcy biwakują na słońcu, klnąc generalskie rządy i wzywając niebo o pomstę.

Dopiero po pewnym czasie okazuje się, zarządzenie jest mistyfikacją, której sprawcy dotąd nie wykryto.

Ten mały fakt charakteryzuje wrażenie, jakie wywarło mianowanie generała wojewodą. Przed ludnością, ba, przed władzami nawet stanęła w całej gromadzie zgorza czasów wojennych.

Wszelkie męty podnoszą głowę. Śni im się terror i rekwizycja. Śni im się możliwość używania w mętnej wodzie. Ale to samo już nie marzy się ani śni ludności miejscowej — lecz ją przeraża.

Czy w ten sposób mamy rządzić?

au.

WYSZŁA Z POD PRASY BROSZURA

p. t.

RZĄD CHJENO-PIASTA PRZED SĄDEM

zawierająca sprawozdanie z 11-stu procesów redaktora Głosu Prawdy o obrazę rządu Witosa, Seydy, Szeptyckiego, Kiernika, Kucharzskiego i Swolkienia.

Do nabycia w księgarniach, wszystkich kioskach, na dworcach kolejowych i u ulicznych sprzedawców pism.

Cena egzemplarza 2 zł.

Pp. abonentom naszego pisma, opłacającym prenumeratę w Administracji, broszurą wysłana będzie bezpłatnie po nadesłaniu porta, markami pocztowymi, w wysokości 20 groszy.

Treść № 53-go: Zagadnienie walki z komunizmem — *W. Stpiczyński*. Paroksyzm głupoty politycznej — *S. G.* Tydzień lotniczy — *A. Dowmunt*. Znamienny symptomat — *T.* Pożądanie kompromitacji. — *A. Uziembło*. Powtórzenie eksperymentu — *A. U.* Mówca na niedziele i święta — *w. Łobuzerska* propaganda — (*g.*) Nieprawdopodobne a jednak prawdziwe — *Autsider*. Widmo — *au.*

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty**, kwartalnie **3 złote**. Zagranicą kwartalnie **5 złotych**.

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. **3288**.

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński**.

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA”, Moniuszki 11.